MOJŻESZ

TOM 4

ZIEMIA OBIECANA



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

Tom 4

Ziemia Obiecana

(wydany)

I przemówił Pan do Mojżesza twarzą w twarz,
jak się rozmawia z przyjacielem.

Wj 33,11

I nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza,
który by poznał Pana twarzą w twarz.

Pwt 34,10

Copyright © Marek Migała, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

ISBN 978-83-981520-7-5 (wydanie elektroniczne)

Ziemia Obiecana jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.


WĘDRÓWKA IZRAELITÓW
OD KADESZ DO RÓWNIN MOABU
Ostatnie 20 lat wędrówki (ok. 38–40 roku)
Księga Liczb 20–36 | Księga Powtórzonego Prawa
Główna trasa wędrówki
Okrążenie Edomu
Droga nad Jordanem (wschodni brzeg)
Z powrotem na równiny Moabu
Najważniejsze miejsca
Inne miejscowości
Góry
Ważne bitwy
Obozowiska
Granice plemion / regionów
N
W
E
S
SYRIA
BASAN
Jezioro Galilejskie
15 Pella
KANAAN
Perea
Jordan
Góra Nebo (Abel-Sittim)
Jerycho
14
Aszkelon
Jerozolima
13
Hebron
Filistyni
JUDA
Morze Martwe
Morze Śródziemne
Arnon
Równiny Moabu (38–40 rok)
16
MOB
B
1 Kadesh-barnea
Pustynia Zin
Negew
EDOM
Góra Seir
Pustynia Paran
Eilat (Elat)
Synaj (na południe)
Zatoka Akaba
0 25 50 75 100 km
WAŻNIEJSZE WYDARZENIA
(ostatnie 20 lat wędrówki)
1 Kadesz-barnea (rok 38) – opuszczenie Kadesz i rozpoczęcie nowego etapu.
2 Okrążenie Edomu (rok 38–39) – Izraelici omijają Edom, aby uniknąć konfliktu (zob. Licz 20–21).
3 Walki na Wschodnim Brzegu Jordanu (rok 39) – starcia z Amorytami, w tym z królem Sihonem i Ogiem (zob. Licz 21–22).
4 Pella (rok 39) – obóz na wschodnim brzegu Jordanu.
5 Przeprawa przez Jordan (rok 40) – wejście do ziemi obiecanej (zob. Joz 1–4).
6 Równiny Moabu (rok 40) – ostatnie obozowisko przed śmiercią Mojżesza (zob. Powt 1–3).
„I tak Izraelici udali się z Kadesz i rozbili obóz na równinach Moabu, poza Jordanem na wschód."
(Księga Liczb 33:49)
TRASA W SKRÓCIE
Kadesz-barnea → Okrążenie Edomu ~ 2–3 tyg.
Okrążenie Edomu → Pustynia Zin ~ 1–2 mies.
Pustynia Zin → Pella (Wsch. Brzeg Jordanu) ~ 6–8 mies.
Pella → Przeprawa przez Jordan ~ 1–2 mies.
Jordan → Równiny Moabu ~ kilka tyg.
Łącznie: ok. 20 lat na pustyni

SPIS TREŚCI

Dramatis Personae 10

Prolog — Kuszenie 13

Rada strąconych i Ten, który przyszedł w ludzkim ciele, by dać Mojżeszowi cały świat za jedną cenę

Rozdział I — Synowie niewolników 25

Kadesz — Jozue kuje wojsko z pokolenia pustyni; tysiące i setki, oręż z morza, i gorycz Rubena

Rozdział II — Pokolenie pustyni 50

Zwykły dzień w obozie — świat, który ma przejąć Jozue

Rozdział III — Człowiek, który sprzedał opokę 78

Petor i Jerycho — jak poganin został prorokiem, komu służył, i dlaczego jego moc kończy się tam, gdzie zaczyna się Izrael

Rozdział IV — Ziemia się otworzyła 93

Pustynia — bunt Koracha, ziemia pochłania buntowników, laska Aarona

Rozdział V — Zanim przyjdzie noc 122

Śmierć Sefory i żałoba domu; synowie pytają o Synaj; pożegnania z Miriam i Aaronem; i strach Jozuego przed ciężarem

Rozdział VI — Wody Meriba 142

Kadesz — śmierć Miriam, skała Meriba, kara Mojżesza

Rozdział VII — Góra Hor 161

Śmierć Aarona na górze Hor — obłoki chwały, szaty przekazane synowi i łoże, które usłali aniołowie

Rozdział VIII — Arad 179

Droga Atarim — pierwsza bitwa nowego pokolenia; ślub herem i odwrócone przekleństwo Chormy

Rozdział IX — Wąż miedziany 203

Droga okrężna wokół Edomu; jad palący, dramat spojrzenia i znak, który leczył patrzeniem w górę

Rozdział X — Sichon 220

Cheszbon — poselstwo pokoju, odmowa króla Amorytów i krwawa bitwa pod Jahaz o Gościniec Królewski

Rozdział XI — Og z Baszanu 239

Edrei — ostatni z olbrzymów; strach, który złamał ojców, i żelazne łoże, które zostało puste

Rozdział XII — Bileam 261

Nad Wielką Rzeką — najęty prorok, oślica, cztery wyrocznie i rada, której nie da się zapisać

Rozdział XIII — Baal-Peor 280

Szittim — uwiedzenie, plaga i włócznia Fineesa

Rozdział XIV — Dwanaście tysięcy 307

Równiny Moabu — rozkaz ostatniej wojny, pobór dwunastu tysięcy z Fineesem i śmierć Bileama, który przyjechał po zapłatę

Rozdział XV — Miecz na Midian 330

Dwadzieścia dni pościgu przez pięć wadi i bitwa, która nie kosztowała ani jednego

Rozdział XVI — Spór o pojmanych 353

Powrót z łupem, gniew Mojżesza o oszczędzone kobiety i pierwszy wyrok Eleazara

Rozdział XVII — Przemowy i zwój 378

Równiny Moabu — zgromadzenie całego Izraela, Jozue wyznaczony, trzy przemowy, ostatnia noc

Epilog — Góra Nebo 408

Moab — widok, śmierć, grób którego nikt nie znalazł

Nota o źródłach 431

Między Biblią, tradycją a wyobraźnią

SŁOWO OD AUTORA

Tom czwarty zamyka sagę.

Droga z Synaju do Ziemi Obiecanej miała trwać jedenaście dni. Trwała czterdzieści lat.

Między tymi liczbami jest pokolenie, które wyszło z Egiptu i nie weszło nigdzie. Ludzie, którzy widzieli morze rozdzielone i mannę na piasku — a postawieni pod samą granicą, zawrócili. Mojżesz prowadzi tych, którzy raz po raz wolą Egipt, którego już nie ma, od ziemi, której jeszcze nie widać.

Po drodze czeka ich wojna, bo ziemia obiecana jest także ziemią zamieszkaną: król Aradu, węże pustyni, Sichon i Og — ostatni z olbrzymów — Moab i Midian, i wszystkie mury Kanaanu, które dopiero majaczą za Jordanem. Ale najgroźniejszy wróg tego tomu nie bierze do ręki miecza. To Bileam, syn Beora — prorok pogan, obdarzony tym samym darem słyszenia Boga co Mojżesz, lecz traktujący ten dar nie jako powołanie, tylko jako towar na sprzedaż. Dwaj prorocy na dwóch brzegach tej samej rzeki: jeden oddaje wszystko i nie bierze nic, drugi ma wszystko i sprzedaje to za srebro. A gdy okazuje się, że Izraela nie da się przekląć, Bileam dowodzi rzeczy gorszej: że naród, którego nie złamie żaden wróg z zewnątrz, można złamać od wewnątrz — jego własną słabością.

Grzebie siostrę. Grzebie brata. Grzebie prawie wszystkich, których wyprowadził.

A na końcu — góra Nebo. Widok Ziemi Obiecanej z oddali. I śmierć w samotności, z Bogiem.

— Nie wejdziesz tam — powiedział Bóg. — Za dużo widziałeś. Za dużo wiesz. Tam, gdzie idą, potrzebują kogoś, kto jeszcze wierzy, że się da.

Jozue wejdzie. Mojżesz umrze na wzgórzu z widokiem.

I nikt nie znajdzie jego grobu — do dziś.

Marek Migała

2026

DRAMATIS PERSONAE

Główne postacie sagi

RODZINA MOJŻESZA

Mojżesz	Prorok i prawodawca Izraela. Osiemdziesiąt lat, gdy wyprowadził lud z Egiptu; sto dwadzieścia, gdy umiera na górze Nebo. Prowadzi lud przez pustynię ku ziemi obiecanej.
Aaron	Starszy brat Mojżesza, pierwszy arcykapłan Izraela. Niegdyś jego głos przed faraonem.
Miriam	Siostra Mojżesza i Aarona, prorokini. Prowadziła kobiety w pieśni po przejściu przez morze.
Sefora	Żona Mojżesza, córka Jetry, kapłana Midianu. Matka Gerszoma i Eliezera.
Gerszom	Starszy syn Mojżesza i Sefory, urodzony w Midianie.
Eliezer	Młodszy syn Mojżesza i Sefory.

NASTĘPCY I WODZOWIE

Jozue	Syn Nuna, z pokolenia Efraima. Wódz wojsk Izraela i wyznaczony następca Mojżesza.
Kaleb	Syn Jefunnego, z pokolenia Judy. Jeden z dwóch zwiadowców, którzy zachowali wiarę po powrocie z Kanaanu.
Eleazar	Syn Aarona, kapłan.
LUD I DORADCY	
Jetro (Reuel)	Kapłan Midianu, teść Mojżesza. Doradził Mojżeszowi sądowniczy ustrój tysięcy, setek i dziesiątek.
Korach	Lewita, kuzyn Mojżesza. Staje na czele buntu przeciw władzy Mojżesza i Aarona.
Finees	Syn Eleazara, wnuk Aarona. Gorliwy młody kapłan.
On, syn Peleta	Wojownik nowego pokolenia z pokolenia Rubena.
Zimri, syn Salu	Naczelnik rodu w pokoleniu Symeona.
ANTAGONIŚCI	
Sichon	Król Amorytów w Cheszbonie.
Og	Król Baszanu, ostatni z Refaitów (olbrzymów).
Balak	Król Moabu.

Bileam	Sławny prorok-wróżbita z Petor nad Eufratem, najmowany przez królów.
Sur	Książę Midianu, ojciec Kozbi.
Kozbi	Midianitka, córka księcia Sura.
ŚWIAT NADPRZYRODZONY	
Samael	Największy ze strąconych — ten, który nie chciał pokłonić się glinie. Imię znaczy „jad Boży". Oskarżyciel przed Tronem: nie kłamie, lecz dobiera prawdę tak, by raniła.
Michał, Gabriel, Zagzagel	Trzej aniołowie służebni. Michał — archanioł Izraela; Gabriel — „Bóg jest moją mocą"; Zagzagel — pisarz synów nieba.



PROLOG — Kuszenie

Rada strąconych i Ten, który przyszedł w ludzkim ciele, by dać Mojżeszowi cały świat za jedną cenę

Rada strąconych

Tam, gdzie nie sięga słońce, bo słońce jest zbyt młode, by tam sięgnąć, zebrali się ci, którzy pamiętają czas przed czasem. Nie mieli ciał — ciało jest darem, a im dar odjęto — więc byli obecni tak, jak obecny jest chłód w studni albo nienawiść w liście, którego jeszcze nie otwarto. A radowali się, bo mieli z czego.

— Chorma — powiedział jeden, i słowo to zabrzmiało jak kość pękająca pod stopą. — Weszli bez Arki, w gniewie, i Amalekita zepchnął ich ze wzgórz. Sami. Nikt ich nie pchał. Wystarczyło szepnąć „udowodnijcie, że jesteście czegoś warci", a poszli na rzeź, żeby to udowodnić.

— To nic — odrzekł drugi, i był to Mastema, książę wrogości, ten, którego postawiono niegdyś nad Egiptem i który urząd zachował mimo niewierności. — Chorma to jeden dzień. Ja im dałem cielca. Czterdzieści dni nie było proroka na górze, a oni ulali sobie boga z kolczyków własnych żon i tańczyli przed nim. Bóg dał im dziesięć słów, wyrytych własnym palcem — a oni w czterdzieści dni wymienili je na ryk złotego bydlęcia. — Coś, co u niego zastępowało śmiech, przeszło przez ciemność. — Nie trzeba ich kusić do wielkich grzechów. Wystarczy poczekać. Sami się zdradzą.

Ale jeden z nich milczał, i jego milczenie było cięższe niż ich mowa. Bo był to Samael — nie największy ze strąconych z tego powodu, że najwięcej upadł, lecz z tego, że najwyżej stał, zanim upadł. Ten, który jako pierwszy odmówił pokłonu, gdy Bóg rozkazał wojskom niebios uklęknąć przed garścią gliny, którą nazwał człowiekiem. „Ja, ogień, mam się kłaniać błotu?" — powiedział wtedy, i to jedno zdanie strąciło go z wyżyn, na których nie stanie już nigdy nikt. Odtąd nienawidził człowieka nie jak wróg wroga, lecz jak starszy brat wydziedziczony na rzecz młodszego, głupszego, słabszego — nienawiścią, w której było coś z rozdartej miłości, i przez to gorszą od każdej innej.

— Cieszycie się z cielca i z Chormy jak sługi, którym pan rzucił kość — powiedział wreszcie, i wszyscy ucichli. — Grzechy ludu są niczym. Lud jest jak woda — chlapie, gdzie go potrącisz, i wraca do swego. Za każdym cielcem Bóg posyła im proroka, i prorok ich zawraca. Dopóki mają pasterza, stado się nie rozejdzie. — Zwrócił się

ku miejscu, gdzie daleko w dole tlił się słup ognia nad obozem na pustyni. — Nie kruszcie owiec. Weźcie pasterza. Zabierzcie im Mojżesza — nie mieczem, bo miecz zrobi z niego pieśń — lecz tak, żeby sam odszedł. Żeby sam ich zostawił. Wtedy nie będzie proroka, który by ich zawrócił od następnego cielca, i rozsypią się na pustyni jak proch, którym są.

— A kto go weźmie? — zapytał Mastema. — Widziałeś jego twarz, gdy schodzi z góry? Świeci. Boję się na nią patrzeć.

— Ja — powiedział Samael. — Pójdę sam. I nie pójdę w grozie, bo grozy człowiek się spodziewa. Pójdę w ciele. W uśmiechu. Z darem w dłoniach. — Zaczął przyodziewać się w kształt, którego nie miał od początku świata — w skórę, w twarz, w oczy. Tylko oczu nie umiał zrobić do końca łagodnych; w źrenicach został mu ten stary ogień, ta nienawiść do gliny, której nie da się ukryć, choćby się włożyło najpiękniejszą twarz. — Reszta jest łatwa. Każdemu człowiekowi można dać dokładnie to, czego pragnął, gdy był młody. Sztuka polega na tym, żeby przyjść, gdy jest już stary.

A wysoko, tam gdzie zaczyna się światło, Michał, książę Izraela, widział, jak Samael obleka się w ciało. Stanął na straży, choć wiedział, że tej bitwy nie stoczy za Mojżesza. Tę Mojżesz miał stoczyć sam.

Ten, który przyszedł w ciele

Mojżesz siedział sam, poza obozem, w tę godzinę nocy, w której nawet warty milczą. Za sobą miał Chormę i pogrzebane pokolenie; złotego

cielca, którego wciąż nie umiał zapomnieć; czterdzieści lat prowadzenia ludu, który go kochał w dniu cudu i przeklinał nazajutrz, gdy zabrakło wody. Był zmęczony tak, jak bywa zmęczony tylko ten, kto nie ma komu tego powiedzieć.

Wtedy z ciemności wyszedł człowiek.

Nie było w tym nic dziwnego — obozy odwiedzali wędrowcy, kupcy, zbiegowie. Ten był starszy, dostojny, ubrany jak ktoś, kto zna smak władzy. Usiadł naprzeciw, nieproszony, przy dogasającym ognisku, i przez chwilę milczeli razem, jak milczą dwaj starzy ludzie, którzy nie muszą się śpieszyć.

— Jesteś zmęczony, Mojżeszu — powiedział wreszcie gość. Nie było to pytanie.

— Kto nie jest, w moim wieku.

— Nie mówię o wieku. — Gość pochylił się, a ogień odbił mu się w oczach — i Mojżesz, który widział krzew gorejący i słup ognia i chwałę na górze, drgnął, bo w tych oczach ogień był inny. Nie grzał. — Mówię o tym zmęczeniu, którego nie leczy sen. O zmęczeniu człowieka, który dźwiga naród na plecach, a naród na każdym postoju szuka kamienia, żeby go tym kamieniem ukamienować.

Mojżesz nie odpowiedział. Ale nie odszedł. A gość uśmiechnął się, bo brak sprzeciwu zna lepiej niż ktokolwiek — to jego pierwsze żniwo.

Oferta

— Przyszedłem ci coś ofiarować — powiedział gość. — Wysłuchaj do końca, potem odmówisz, jeśli zechcesz. Tyle mi się należy za drogę.

— Nie mam czym płacić za dary.

— To nie ty płacisz. — Gość rozłożył ręce, a wraz z tym gestem noc wokół nich jakby się rozstąpiła i pokazała rzeczy, których na pustyni nie ma. — Popatrz. Dam ci młodość — nie wspomnienie młodości, lecz ją samą, ciało dwudziestolatka, w którym znów będziesz biegł, a nie wlókł się o lasce. Dam ci bogactwo, przy którym skarbce faraonów są garścią miedziaków. I dam ci władzę — nie nad tym stadem kóz na piasku, lecz nad całym światem, od morza do morza, tak że królowie będą ścielić ci drogę własnymi płaszczami. Wszystko, co widzisz i czego nie widzisz. Za jedną cenę.

— Za jaką?

— Odejdź od swojego Boga. I zostaw ten lud sam.

Cisza. Trzasnął węgiel w ognisku.

— To wszystko? — zapytał Mojżesz cicho.

— To wszystko. Nie proszę, żebyś ich skrzywdził. Nie proszę nawet, żebyś w cokolwiek przestał wierzyć — wierz sobie na boku, ile chcesz. Proszę tylko, żebyś przestał ich nieść. Odejdź. Zejdź im z drogi. Niech idą sami, jak dorośli, którymi nigdy nie zechcą być, dopóki ty za nich myślisz. — Pochylił się bliżej. — I powiem ci prawdę, Mojżeszu, bo jesteś jedynym człowiekiem, który zasłużył, żeby usłyszeć prawdę zamiast pociechy: robisz im krzywdę, niosąc ich.

Naród, który ma Mojżesza, nigdy nie dorośnie. A ten naród — pozwól, że będę szczery — nie jest wart twoich pleców.

Prawda użyta krzywo

I zaczął mówić, a mówił mądrze — mądrzej, niż mówi ktokolwiek, kto kłamie, bo Samael nie kłamał. To była jego broń najostrzejsza: prawda, nachylona pod takim kątem, żeby raniła.

— Policzmy ich, Mojżeszu, skoro tak lubisz liczyć. Wyprowadziłeś ich z Egiptu na ramionach dziesięciu plag, a oni nad brzegiem morza krzyczeli: „czy brakło grobów w Egipcie, żeś nas wywiódł na śmierć?". Rozstąpiło się morze — a trzy dni później, przy pierwszej gorzkiej wodzie, szemrali. Spadła manna z nieba — znudziła im się w miesiąc, zapragnęli cebuli. Dałeś im górę płonącą, głos Boga, dziesięć słów — a nie zdążyłeś zejść, gdy już tańczyli przed bykiem. Posłałeś ich do ziemi, którą im obiecano — i cofnęli się ze strachu przed wysokimi ludźmi. Za każdym razem to samo: cud, wdzięczność na jeden dzień, i szemranie na wszystkie pozostałe. — Rozłożył ręce. — Ty nazywasz to ludem wybranym. Ja to nazywam wodą, która nie chce przyjąć kształtu naczynia, choćby naczyniem był sam Bóg.

Mojżesz milczał, bo każde z tych zdań było prawdziwe, i to milczenie bolało go bardziej niż kłamstwo.

— A teraz o twoim Bogu — ciągnął Samael, i głos mu złagodniał, jakby z troski. — Powiedz mi, komu ty właściwie służysz. Wyprowadził ich, żeby zaprowadzić do ziemi — a wodzi ich

czterdzieści lat po pustyni, aż całe pokolenie wygnie. Karze plagą za plagą, liczy trupy tysiącami. Twój brat i siostra dźwigali z tobą ten naród — a jego czeka śmierć na obcej górze, a jej pod kopcem w Kadesz. — Pochylił się, i teraz w jego głosie zabrzmiała nuta, która miała być litością, a była tylko ostrzem owiniętym w aksamit. — A wiesz, co czeka ciebie? Ja wiem. Widzę dalej niż ty. Doprowadzisz ich pod samą rzekę — i on nie pozwoli ci jej przekroczyć. Za jeden gniew, za jedno uderzenie w skałę, którego jeszcze nawet nie popełniłeś, odbierze ci wszystko, na co pracowałeś całe życie. Dasz mu całe życie, a on ci nie da nawet garści ziemi po drugiej stronie wody. — Wyprostował się. — I ty to nazywasz sprawiedliwością. Ja nazywam okrucieństwem pana, który wyciska ze sługi ostatnią kroplę, a potem odprawia go z pustymi rękami przed samą bramą. Odejdź od niego, Mojżeszu. Zasłużyłeś na więcej niż on ci da.

Co pokazał mu w wodzie

A potem Samael zrobił rzecz najokrutniejszą ze wszystkich: pokazał mu, co utracił.

W czerni dogasającego ogniska, jak w czarnej wodzie, Mojżesz zobaczył siebie młodego. Zobaczył księcia Egiptu w lnie i złocie, przed którym zginały się karki. Zobaczył wyprawę na Kusz — siebie na czele armii, zwycięstwo pod Sabą, mury, które padły, i Tarbis, dumną córkę Południa, którą przywiózł jako żonę i chwałę. Zobaczył lud Egiptu wiwatujący na jego cześć, gdy wracał zwycięski — dwa miliony gardeł

krzyczących jego imię nie z rozpaczy, jak teraz, lecz z uwielbienia. Zobaczył twarze kobiet, które kochał i które przeminęły: Iset, pogodną, przy studni; Neferet, która oddała życie, zasłaniając go przed strzałą; Tarbis; Seforę, dziś siwiejącą, niegdyś dziewczynę u studni w Midianie. Wszystkie miłości, cała chwała, cała moc — obraz za obrazem, żywe, ciepłe, dotykalne.

— To wszystko było twoje — szepnął Samael. — I to wszystko możesz mieć znowu, na nowo, świeże. Młodość. Uwielbienie. Miłość, która nie zdąży przeminąć, bo dam ci wieki, nie lata. Popatrz, jak byłeś wielki, zanim ten Bóg zrobił z ciebie starca pasącego niewdzięczników na pustyni. Popatrz i wybierz.

I był to moment — jeden, prawdziwy — w którym Mojżesz zapragnął. Bo był tylko człowiekiem, a człowiek, któremu pokaże się jego młodość, jego chwałę i jego zmarłe miłości jednocześnie, drgnie, choćby był najświętszy. Sięgnął w myślach ku temu obrazowi jak ku wodzie na pustyni.

Skała

A wtedy, dotykając w pamięci tamtej chwały, Mojżesz przypadkiem dotknął czegoś, co leżało obok niej — i to go ocaliło.

Bo obok zwycięstwa nad Kuszem leżała jego cena: Tarbis, która umarła. Obok uwielbienia tłumów leżał dzień, w którym te same tłumy patrzyły, jak ucieka z Egiptu jako zabójca. Obok Iset i Neferet leżały ich groby. Chwała Egiptu — gdzie jest dziś Egipt jego

młodości? Faraon, przed którym drżał świat, leży zabalsamowany w ciemności, a jego imię zdrapują ze ścian następcy. Wszystko, co Samael mu pokazywał jako trwałe, Mojżesz widział już raz — i widział, jak przemija. Był starcem. Starzec ma tę jedną przewagę nad kusicielem: widział już, jak kończą się rzeczy, które młodym wydają się wieczne.

I wtedy przyszło do niego wspomnienie inne niż wszystkie — nie z ziemi. Przypomniał sobie górę. Synaj, obłok, głos. I przypomniał sobie to, czego nie opowiedział nigdy nikomu: jak raz został wzięty w górę, ponad siódme niebo, i pokazano mu rzeczy, dla których ludzki język nie ma słów — i jak wróciwszy stamtąd, patrzył potem na złoto i na trony, i na wojska, i wszystko to wydało mu się małe. Nie złe — małe. Jak zabawki dziecka oglądane oczami starca.

Podniósł głowę i spojrzał gościowi prosto w oczy — w te oczy, których tamten nie umiał zrobić łagodnymi.

— Pokazałeś mi młodość, bogactwo i władzę nad światem — powiedział wolno. — I masz rację co do jednego: pragnąłem tego. Przez chwilę pragnąłem. Ale zapomniałeś, komu to pokazujesz. Ja to wszystko już miałem. Byłem księciem najpotężniejszego państwa na ziemi. Kochały mnie kobiety piękniejsze, niż zdołasz wyśnić. Dowodziłem armiami, przed którymi padały mury. I wiesz, co z tego zostało? Groby. Piasek. Imiona zdrapane ze ścian. — Wstał, a stając, oparł się o laskę, i po raz pierwszy tej nocy laska nie wyglądała jak podpora starca, lecz jak coś innego. — Wszystko, co mi oferujesz, jest mirażem, jaki widzi wędrowiec na pustyni: jezioro tam, gdzie jest piach. Człowiek, który buduje życie na młodości, budzi się stary. Kto

buduje na bogactwie, budzi się okradziony. Kto buduje na uwielbieniu tłumu — słyszy, jak ten sam tłum woła nazajutrz „ukamienujmy go". Wszystko to jest wodą, która ucieka między palcami.

— A twój Bóg? — syknął gość, i w tym syku pękła pierwsza warstwa ludzkiej skóry.

— Mój Bóg jest Skałą — powiedział Mojżesz. — Jedyną rzeczą na pustyni, która nie ucieka między palcami. Można się o Niego oprzeć i On nie ustąpi. Można Go uderzyć — i wtedy biada uderzającemu, nie skale. Wszystko inne przemija; On trwa. Wybrałeś mi młodość przeciw wieczności, proch przeciw opoce. Kiepski z ciebie kupiec, choć udajesz najlepszego.

Ten, który nie umie się kłaniać

I wtedy Samael przestał udawać.

Skóra, którą przywdział, obwisła jak zdarta z węgorza, twarz się rozpadła, i została pod nią ta nienawiść, której od początku nie umiał ukryć w oczach — teraz cała, odsłonięta, tak ogromna, że Mojżesz zrozumiał wreszcie, na kogo patrzy.

— Wiem, kim jesteś — powiedział, i nie cofnął się. — Jesteś tym, który pierwszy nie chciał się pokłonić. Nienawidzisz nas nie dlatego, że jesteśmy źli — nienawidzisz nas, bo jesteśmy z gliny, a On wybrał glinę, nie ogień. Cała twoja mądrość, cała twoja starość, całe siódme niebo, z którego spadłeś — nie warte jednego dnia najgłupszego z tych

szemrających ludzi, których gardzisz. Bo oni, upadając, wstają i idą dalej. A ty upadłeś raz i przez wieczność nie zdołałeś wstać, bo za dumny jesteś, żeby zgiąć kolano nawet po to, żeby się podnieść.

Coś w Samaelu ryknęło bez głosu. Sięgnął — po broń, po grozę, po coś — ale Mojżesz uniósł laskę, tę zwykłą pasterską laskę, na której dawno temu wyryto Imię, którego się nie wymawia, i strącony cofnął się przed nią, jak cofa się ciemność przed wniesioną lampą. Nie dlatego, że laska była mocna. Dlatego, że nie była jego.

— Odejdź — powiedział Mojżesz.

— Odejdę — wychrypiał Samael, wracając w ciemność, z której przyszedł. — Ale wrócę, Mojżeszu. Raz jeszcze. Nie po to, żeby ci coś dać — po to, żeby coś wziąć. Przyjdę na końcu, na górze, po twoją duszę, i wtedy nie będziesz miał już ludu do noszenia ani sił do laski. Zapamiętaj: dziś wygrałeś. Ostatnie słowo mam ja.

— Ostatnie słowo — powiedział Mojżesz cicho, już do pustej ciemności — ma Skała.

Zejście

Wysoko Michał, który wszystko widział, nie zapłakał tej nocy — bo tej nocy nie było nad czym. A na dole Mojżesz siedział jeszcze długo przy dogasłym ognisku, drżąc — nie ze strachu, lecz jak drży człowiek, który dopiero co stał nad przepaścią i cofnął się o krok.

O świcie wstał. Był tak samo stary jak wczoraj; nie dostał ani jednego dnia młodości. Kolana bolały. Do rzeki, której miał nie

przekroczyć, było wciąż daleko. Naród, który miał nieść, wciąż spał w namiotach i wciąż był tym samym narodem, który jutro znów zaszemrze o wodę. Nic się nie zmieniło — prócz tego, że Mojżesz raz jeszcze, świadomie, oczami otwartymi na całą cenę, wybrał Skałę zamiast mirażu. A to jest jedyna rzecz, która kiedykolwiek się zmienia i jedyna, która cokolwiek znaczy.

Poszedł do obozu. Trzeba było kuć wojsko z synów niewolników, chować zmarłych i szukać wody. Trzeba było nieść ich dalej.

A daleko na wschodzie, nad inną wodą, nad Wielką Rzeką, spał jeszcze inny człowiek, któremu wkrótce ktoś też zaproponuje srebro za to, by odwrócił się od tego ludu. Bo świat dzieli się na tych, którzy patrzą na proch i widzą proch, i na tych, którzy patrzą na proch i sprzedają za niego opokę.



ROZDZIAŁ I — Synowie niewolników

Kadesz — Jozue kuje wojsko z pokolenia pustyni; tysiące i setki, oręż z morza, i gorycz Rubena

Po Chormie

Wrócili spod Chormy tak, jak wraca się z pogrzebu własnej pychy: bez pieśni, bez łupu, z pustymi rękami, które jeszcze pamiętały ciężar broni podniesionej wbrew słowu Boga. Amalekita i Kananejczyk zepchnęli ich ze wzgórz Negebu aż po Chormę i dalej, i pustynia przyjęła rozbitków tak samo obojętnie, jak przyjmuje deszcz, który wsiąka i znika.

Mojżesz nie wyszedł im naprzeciw. Stał w wejściu do Namiotu i patrzył, jak wchodzą do obozu grupami, jak niosą rannych i jak nie niosą zabitych, bo zabitych zostawili na wzgórzach. Policzył ich oczami, tak jak liczył zawsze — nie z okrucieństwa, lecz z nawyku pasterza, który wie, ile powinno wrócić.

Wieczorem przyszedł do niego Jozue. Miał na sobie jeszcze kurz drogi i tę twarz, którą Mojżesz znał od Refidim — twarz człowieka, który przegraną rozkłada na części, żeby zobaczyć, gdzie pękło.

— Czterdzieści lat — powiedział Mojżesz, zanim tamten zdążył cokolwiek rzec. — Rok za każdy dzień, przez który dwunastu chodziło po tamtej ziemi. Wszyscy od dwudziestego roku wzwyż. Padną tutaj, na piasku, jeden po drugim, aż ostatni z nich położy się i nie wstanie.

Jozue milczał długo.

— Więc czekamy — powiedział wreszcie. — Czterdzieści lat czekamy, aż wymrą, i nic nie robimy.

— Nie czekamy. — Mojżesz odwrócił się do niego i w świetle lampy jego oczy były bardzo stare i bardzo przytomne. — Synowie. Ci, którzy dzisiaj są za młodzi, żeby paść pod wyrokiem. Chłopcy, którzy pasali kozy pod słupem obłoku i nie znają smaku cegły. To oni wejdą do tej ziemi. Ale nie wejdą tacy, jacy są. Naród niewolników nie zdobywa krajów. Ktoś musi z nich zrobić wojsko.

— Ich ojcowie uciekli spod Chormy — powiedział Jozue cicho. — Rzucili broń i biegli. Widziałem.

— Ojcowie tak. — Mojżesz skinął głową. — Dlatego mówię o synach. Weź ich, Jozue. Weź ich, dopóki są jeszcze mokrą gliną. Za czterdzieści lat ma tu stać wojsko, które nie ucieknie.

Jozue nie powiedział „spróbuję". Nie był człowiekiem, który tak mówi.

— Daj mi chłopców — powiedział. — I daj mi Kaleba.

Tysiące i setki

Zaczęli od liczenia, bo od liczenia zaczyna się wszystko, co ma się później stać wojskiem. Nie od tego liczenia, którym Mojżesz zliczał srebro na Przybytek — od drugiego, twardszego: od dwudziestego roku wzwyż, każdy, kto zdolny wyjść na wojnę, ród po rodzie, dom ojca po domu ojca.

Szkielet dał im teść Mojżesza jeszcze w Refidim, kiedy Jetro patrzył, jak Mojżesz sam sądzi lud od świtu do nocy, i powiedział mu: nie udźwigniesz tego jeden. Wtedy podzielili lud na tysiące, setki, pięćdziesiątki i dziesiątki i postawili nad nimi ludzi. Teraz Jozue wziął tę samą siatkę i przełożył ją z sądu na miecz. Dziesiętnik znał w twarz każdego ze swojej dziesiątki i wiedział, który z nich prześpi wartę. Setnik trzymał dziesięciu dziesiętników. Nad tysiącami stali naczelnicy plemion — dwunastu mężów, po jednym z każdego pokolenia, i to oni odpowiadali głową za swoje zastępy.

Ale samej siatki nie da się odziedziczyć po teściu jak płaszcza; trzeba ją wypełnić ludźmi, a ludzi trzeba wybrać. Nad tym siedzieli nocami, przy rozłożonym na wygarbowanej skórze spisie rodów — Mojżesz, Jozue i Kaleb — i był to spór trudniejszy niż każda musztra.

— Jetro dał mi regułę — powiedział Mojżesz, wodząc palcem po imionach domów. — „Wypatrz z całego ludu mężów dzielnych, bogobojnych, godnych zaufania, nienawidzących niesprawiedliwego zysku, i postaw ich jako przełożonych: nad tysiącami, nad setkami, nad pięćdziesiątkami i nad dziesiątkami." Tak dzieliłem lud do sądu.

Ale sąd to nie wojna. Na sąd stawia się człowieka sprawiedliwego. Na wojnę trzeba czegoś jeszcze.

— Posłuszeństwa — powiedział Jozue. — I nie takiego, jakie znają. Oni umieją słuchać tylko jednego głosu: bata. Czterdzieści lat słuchali nadzorcy, który stał za plecami z rzemieniem. Niewolnik robi, co mu każą, bo się boi tego, kto stoi za nim. Żołnierz ma robić, co mu każą, bo ufa temu, kto stoi obok. To jest cała różnica między tłumem a wojskiem, i to jest najtrudniejsza rzecz do wykucia — trudniejsza niż brąz. Bat można zabrać. Strach, który bat zostawił, zostaje.

— Więc czego szukamy w dziesiętniku? — zapytał Kaleb, bo Kaleb lubił sprowadzać rzecz wielką do rzeczy prostej.

— Dziesiętnik — powiedział Jozue — to nie najsilniejszy z dziesięciu i nie najmądrzejszy. To ten, za którym pozostałych dziewięciu pójdzie w ciemności, nie pytając dokąd. Czasem jest najstarszy. Czasem najgłośniejszy. A czasem to cichy, którego słuchają, sami nie wiedząc czemu. Takiego trzeba wypatrzyć, bo takiego się nie mianuje — takiego się rozpoznaje. Dziesiątkę dobiera się z jednego domu ojca, żeby zabijali obok braci i stryjów, bo przy bracie człowiek ucieka trudniej. Setnik ma znać w twarz swoich dziesięciu dziesiętników i wiedzieć, który skłamie o wartach. A nad setnikami, nad tysiącami — tam już nie wystarczy odwaga. Tam trzeba człowieka, który ustoi, gdy tysiąc oczu patrzy, czy pierwszy się cofnie.

Szli więc ród po rodzie. Nad Judą postawili Kaleba — bo Nachszon, który pierwszy wszedł w morze, padł pod Amalekiem, a w Kalebie, jak mówił Mojżesz, „był inny duch". Pod nim na setki

wybrali ludzi, których Kaleb znał z klepiska: Otniela, choć młody, bo za Otnielem szli rówieśnicy; i dwóch starszych, twardych, z tych, co mało mówią. Nad Efraimem — plemieniem samego Jozuego — postawił on nie krewnego, lecz najsurowszego z setników, żeby nikt nie rzekł, że Efraimita trzyma miecz dla Efraima. — Wódz, który stawia nad swoimi własną krew, kupuje sobie bunt za jedno pokolenie — powiedział. — Niech lepiej moi mają nade mną człowieka, którego się boją, niż człowieka, którego kochają za nazwisko.

Nad Rubenem stał Elicur, syn Szedeura, i przy jego imieniu wszyscy trzej umilkli. Bo Elicura nie dało się ominąć — był naczelnikiem Rubena z prawa krwi, pierworodnego plemienia — a zarazem żaden z nich mu nie ufał.

— Zostawić go — powiedział w końcu Mojżesz — i patrzeć. Zdjąć pierworodnemu jego naczelnika to dać Datanowi dokładnie to zdanie, którego szuka: „widzicie, Lewita odbiera Rubenowi nawet to jedno." Lepszy wódz, którego pilnujemy, niż uraza, której nie widać. — Spojrzał na Jozuego. — Ale pod Elicurem postaw na setki ludzi, którzy słuchają szyku, nie plemienia. Żeby, gdyby kiedyś naczelnik Rubena wskazał mieczem w złą stronę, zostało dość rąk, które nie pójdą.

I tak, imię po imieniu, powstawał na wygarbowanej skórze szkielet czegoś, czego Izrael nie miał od Egiptu: nie tłumu, który biegnie i pierzcha, lecz ciała o dwunastu członkach i jednej głowie. Nad wszystkim mieli stanąć szoterim — pisarze i dozorcy szyku, którzy w dniu bitwy liczą obecnych, spisują poległych i pilnują, by rozkaz z

góry doszedł nieprzekręcony aż do ostatniej dziesiątki. — Bo wojsko ginie nie wtedy, gdy wróg jest silny — mówił Jozue — lecz wtedy, gdy rozkaz dany na prawym skrzydle dociera na lewe jako jego przeciwieństwo.

Nad Rubenem stał Elicur, syn Szedeura.

Obóz ułożyli w czworobok wokół Przybytku, jak każe porządek marszu: na wschodzie, na czele, sztandar Judy; na południu Ruben; na zachodzie Efraim; na północy Dan. Każde plemię pod własnym znakiem, przy chorągwi domów ojców, tak żeby w ciemności i w zamęcie człowiek wiedział, gdzie jest jego krew.

— Dwanaście plemion — powiedział Kaleb pierwszego wieczoru, patrząc na rozpalone ogniska po czworoboku. — Dwanaście plemion i jeden Bóg. Módlmy się, żeby to było dwanaście mieczy, a nie dwanaście noży wymierzonych w siebie nawzajem.

Jozue nie odpowiedział. Patrzył na południe, gdzie płonęły ognie Rubena, i już wtedy coś liczył.

Oręż, który zwróciło morze

Broń mieli z morza. Kiedy wody wróciły na rydwany faraona, zabrały ludzi, a wyrzuciły żelazo i brąz — i przez wiele dni po przejściu fala kładła na wschodnim brzegu khopesze o zgiętym ostrzu, groty włóczni, łuski pancerzy, okute tarcze, łuki, których cięciwy trzeba było dopiero wysuszyć i naciągnąć na nowo. Egipt uzbroił ich własną śmiercią. Mojżesz kazał to zebrać wtedy do ostatniego ostrza i teraz

otwarto skrzynie, w których brąz leżał owinięty w tłuszcz, żeby nie zżarła go sól.

Ale nie wszystko przyszło z morza. Najstarsze ostrza w obozie pamiętały jeszcze sam Egipt: khopesze, które mężowie wynieśli z domu niewoli tej nocy, gdy wychodzili — bo lud nie opuścił Egiptu z gołymi rękami, lecz, jak mówi stare słowo, „uszykowany do boju", choć boju jeszcze nie znał. Te ostrza egipskiej roboty, zakrzywione jak sierp, ostrzone po stronie wypukłej, żeby zahaczać krawędź tarczy i rąbać z góry w kark, były najlepsze, jakie mieli, i nosili je najstarsi, którzy pamiętali, skąd się wzięły.

A część oręża Izrael zdobył już sam, przed Chormą — pod Refidim, gdy Amalek napadł ich na pustyni, a Jozue po raz pierwszy wyprowadził ludzi do bitwy, dopóki Mojżesz trzymał wzniesione ręce na wzgórzu. Z tamtego pola wrócili nie tylko żywi: wrócili z łupem — amalekickimi włóczniami o wąskich, długich grotach, z prostymi łukami pustynnych koczowników, z nożami, które napastnik nosił przy biodrze. Niewiele tego było, bo Amalek sam był biedny. Lecz Kaleb kazał strzec tej garści broni jak świętości, osobno od reszty.

— Oręż z morza dał nam Bóg — mówił. — Daliśmy się tylko po niego schylić na brzegu. Ale te włócznie wzięliśmy sami, z rąk, które jeszcze żyły, kiedyśmy po nie sięgali. Broń zebrana z topielca waży tyle, co drewno i brąz. Broń wydarta wrogowi waży więcej, bo pamięta, ile cię kosztowała. Dajcie ją tym, którzy pójdą pierwsi — niech wiedzą, że niosą coś, czego nie podarowało im morze, tylko czyjaś śmierć, której sami musieli dokonać.

Nie starczyło dla wszystkich. Nigdy nie starcza. Kowale — ci sami, którzy w Egipcie kuli okucia do cudzych bram — przetapiali, ostrzyli, dopasowywali rękojeści do dłoni, które nigdy rękojeści nie trzymały. Kto dostał khopesz, nosił go jak znak wybrania. Reszcie zostały proce i włócznie o ostrzach hartowanych w ogniu z drewna, i to Kaleb uznał za dobre.

Musztra

Jozue uczył ich stać. To brzmi jak nic, ale to było najtrudniejsze. Uczył ich stać ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, tak żeby między dwoma tarczami nie przeszło ostrze, i stać wtedy, kiedy z naprzeciwka biegnie krzyk i kurz i śmierć. Bo człowiek wolny, który po raz pierwszy widzi, jak wróg rusza, ma w ciele jeden odruch starszy od wszystkich rozkazów: uciekać. Ten odruch Jozue wypalał z nich dzień po dniu, jak wypala się chwast, który odrasta.

Zaczynali przed świtem, kiedy piasek był jeszcze zimny. Jozue ustawiał ich w szereg i kazał trzymać tarczę w górze, na wysokości oczu, i nie opuszczać. Zwykła tarcza z wikliny obciągniętej skórą waży niewiele, kiedy weźmiesz ją do ręki. Po stu oddechach waży jak wół. Po dwustu ramię drży, a Kaleb chodzi wzdłuż szeregu i patrzy, któremu opadnie pierwszemu.

— Opuść tarczę w bitwie — mówił, nie podnosząc głosu — a strzała, która miała utknąć w wikilnie, utkwi ci w oku. Twoja matka będzie cię szukać wśród zabitych po dziurze w twarzy. Trzymaj wyżej.

Potem uczył ich ściany. Dziesięciu obok siebie, tarcza zachodzi na tarczę o szerokość dłoni, włócznie w szczelinach jak zęby. I na tę ścianę Jozue puszczał własnych ludzi z tępymi drągami — dziesięciu na dziesięciu, biegiem, z wrzaskiem. Kto się cofnął, ten rozrywał ścianę, a przez rozdartą ścianę wchodzi śmierć. Więc kto się cofnął, dostawał drągiem po plecach od Kaleba, który szedł za szeregiem jak zły pasterz, i którego drąg bolał bardziej niż ten z naprzeciwka, bo Kaleb bił, żeby zapamiętali.

Otniel, młody z Judy, krewny Kaleba, dostał tego pierwszego dnia trzy razy, bo trzy razy uskoczył. Ciało było mądrzejsze od niego i ciało chciało żyć. Czwartego razu nie uskoczył — zacisnął zęby, wparł stopę w piasek i przyjął rozpęd na tarczę tak, że zabolało w barku aż do kości, a przed oczami stanęły mu białe iskry.

— O — powiedział Kaleb, przechodząc. — Jeden przestał być kozą.

Uczył ich procy, bo procy było więcej niż mieczy, a kamieni więcej niż wszystkiego. Rozstawiał dzbany na sto kroków i kazał rzucać, aż rzemień wycinał bruzdy w palcach i aż ramię nie chciało się już podnieść. Najlepsi trafiali trzy razy na pięć. Kaleb chciał czterech i nie puszczał na wodę tych, którzy nie umieli czterech.

— Śmiejecie się, bo pasaliście nią kozy. Nie śmiejcie się. Kamień z procy nie wie, że wyszedł z ręki syna niewolnika — powtarzał. — Leci tak samo jak z ręki króla. I zabija tak samo. Cała różnica jest w tym, ile razy ćwiczyłeś, kiedy inni spali.

Łuków uczył sam Jozue, i tych było najmniej, bo łuk z morza — egipski, klejony z rogu i drewna — łamał w rękach niecierpliwych, a niecierpliwych było wielu. Naciągnięcie takiego łuku to nie jest siła ramienia, to jest cała plecy, cały grzbiet, całe biodra wparte w ziemię. Kto strzelał samą ręką, tracił po dziesięciu strzałach czucie w palcach i odkładał łuk zawstydzony. Otniel wytrzymał, bo był uparty, i po wielu księżycach kładł strzałę w tarczę z pięćdziesięciu kroków częściej, niż obok.

Khopesza — tego sierpowego miecza, którego morze wyrzuciło najwięcej — uczył Kaleb, bo sam walczył nim pod Amalekiem i nosił po tamtej bitwie bliznę, która mu o tym co rano przypominała. Khopesz nie jest ostrzem do pchnięcia; kto chce nim pchać jak prostym mieczem, ginie.

— Patrzcie na ostrze — mówił, obracając brąz tak, by błysnął. — Tnie po stronie wypukłej, nie po wklęsłej. Nie szukaj nim serca — serca broni tarcza. Szukaj krawędzi tarczy. — I pokazywał, wolno, żeby zapamiętali ruch, nie słowa: zakrzywionym ostrzem zahaczał o górny brzeg cinny, wielkiej tarczy zasłaniającej człowieka od brody po kolana, i jednym szarpnięciem ściągał ją w dół — a gdy znad opuszczonej krawędzi wychylał się kark, w kark szedł drugi cios, z góry, całym ciężarem barku i biodra. — Khopesz nie przebija. Khopesz otwiera. Najpierw odbierz mu tarczę, potem głowę. Dwa ruchy. Kto robi je osobno, ginie między jednym a drugim; kto robi je jednym, wraca do domu.

Kto dostawał khopesz, uczył się też tarcz — bo tarcza to w szyku rzecz ważniejsza od miecza. Cinna, duża i ciężka jak drzwi, z wikliny i wołowej skóry naciągniętej na drewnianą ramę, dla tych z pierwszego szeregu, którzy trzymają ścianę i za którymi chowa się reszta. Magen, mała i okrągła, przypinana do przedramienia, dla procarzy i łuczników z tyłu, którym wielka tarcza plątałaby ręce. — Pierwszy szereg niesie dom — mówił Kaleb — drugi niesie śmierć zza domu. Jeśli pierwszy upuści ścianę, drugi ginie, zanim zdąży napiąć cięciwę. Dlatego najtchórzliwszego stawia się w drugim szeregu, a najtwardszego w pierwszym — odwrotnie, niż podpowiada strach.

Komend uczył krótkich, bo w zgiełku długie zdanie ginie. „Zewrzyj" — i tarcze schodziły się brzeg na brzeg. „Włócznie" — i groty opadały w szczeliny między tarczami jak zęby w paszczy. „Krok" — i cała ściana ruszała razem, lewą nogą naprzód, żeby się nie rozerwać. Z początku brzmiało to jak stado spłoszonych kóz; po wielu księżycach — jak jedno zwierzę o stu nogach, które rusza, staje i zwiera się na jeden głos. I tego dnia, w którym stu ludzi po raz pierwszy zrobiło „zewrzyj" bez spóźnienia ani jednej tarczy, Jozue nie pochwalił ich ani słowem — tylko spojrzał na Kaleba, a Kaleb na niego, i obaj wiedzieli, że pod ich rękami z prochu zaczyna wstawać coś, co ma już własny, jeden oddech.

A na końcu było to, czego nienawidzili najbardziej: wparcie. Włócznia tępym końcem w piasek, ostrze pochylone ku piersiom biegnącego, kolano ugięte, całe ciało za drzewcem jak podpora pod dach. Kiedy rozpędzony człowiek nadziewa się na tak wpartą

włócznię, to nie włócznia go zabija — zabija go własny bieg. Ale trzeba stać. Trzeba stać, kiedy on biegnie prosto na ciebie, i nie odskoczyć, i nie unieść ostrza za wysoko, i wytrzymać uderzenie, które idzie przez drzewce w barki, w kręgosłup, w zęby. Tego uczyli się najdłużej, bo to jest wbrew wszystkiemu, co w człowieku każe mu żyć.

Pot lał się po nich strumieniami. Manna nie tuczy — daje siłę na dzień, nie tłuszcz na zapas — więc byli chudzi i twardzi jak wysuszone rzemienie. W upale pierwszy padał zwykle około południa; wynosili go w cień, polewali wodą ze skały i stawiał się nazajutrz, bo wstyd był gorszy od omdlenia. Jeden zwymiotował mannę wprost pod nogi Kaleba i czekał na drąg, a Kaleb tylko skinął głową: — Dobrze. Znaczy, że dałeś z siebie wszystko. Jutro dasz więcej. — I to było gorsze od drąga.

Mijały księżyce. Skóra na dłoniach, która pękała, zrogowaciała. Barki, które drżały pod tarczą, zgrubiały. Chłopcy, którzy pasali kozy, zaczęli chodzić inaczej — ciężej, pewniej, z tym rozstawieniem stóp, po którym starzy żołnierze poznają się w tłumie bez słowa.

— Nie uczę was wygrywać — mówił im Jozue, kiedy siadali wieczorem w kręgu z suchymi gardłami. — Wygra Bóg albo nikt. Uczę was nie uciekać, zanim Bóg zdąży wygrać. To wszystko, co człowiek wnosi do bitwy: że stoi jeszcze jedną chwilę dłużej, niż mu się chce. Jedną chwilę. Reszta należy do nieba.

Ojcowie, którzy się wzdrygają

Byli w obozie dwaj ludzie na jedno miejsce: syn, który się uczył zabijać, i ojciec, który patrzył. I to ojcowie byli w tym trudniejsi.

Pelet z Rubena przychodził co wieczór na skraj klepiska, gdzie ćwiczył jego syn On, i siadał, i patrzył, i milczał. Był niewolnikiem w Egipcie czterdzieści lat i miał to w ciele: kiedy Kaleb strzelał drągiem w powietrzu dla postrachu, Pelet kulił się, choć nie w niego mierzono. Świst nad głową znaczył dla niego jedno, i tego jednego nie dało się wypłukać z pleców, które nosiły ślad bata dłużej, niż będą je nosiły kości.

On tego nie miał. On urodził się pod obłokiem, pił wodę ze skały Miriam, jadł mannę i nie widział nigdy nadzorcy z rzemieniem. Kiedy stawał w ścianie tarcz, stał prosto, bo nikt nigdy nie nauczył jego grzbietu, żeby się garbił.

— Prosto stoisz — powiedział mu raz ojciec, kiedy szli wieczorem między namiotami. Powiedział to tak, jakby to było oskarżenie i jakby to była duma, i sam nie wiedział, które z dwojga.

— A jak mam stać? — zapytał On.

Pelet długo nie odpowiadał.

— Ja bym nie umiał tak stać przed nikim — powiedział wreszcie. — Całe życie stałem pochylony. Myślałem, że to się przekazuje synom, jak kolor oczu. A ty stoisz prosto i nawet nie wiesz, że to jest cud.

On nie zrozumiał wtedy ojca.

Jak patrzą na proroka

Dla synów Mojżesz nie był człowiekiem. Był tym, co stoi między obozem a górą, między ludem a ogniem — postacią, którą widuje się z daleka, kiedy wchodzi do Namiotu i słup staje w wejściu. Ich ojcowie pamiętali go innym: młodszym, gniewnym, tym, który zabił nadzorcę i uciekł, tym, który przyszedł z laską i obietnicą i wyprowadził ich w noc pełną krwi na odrzwiach. Synowie pamiętali tylko starca, przed którym rozstępowała się cisza.

Wieczorami, przy ogniskach, gadali o tym, jak młodzi gadają o wszystkim — za głośno i zbyt pewnie.

— Po co ta musztra — mówił jeden, z Dana, oblizując palce z manny — skoro Bóg i tak walczy za nas? Pod morzem nie musztrował nas nikt. Wystarczyło stać i patrzeć.

— Pod morzem nie musiałeś wchodzić na mury Chormy — odpowiadał mu Otniel. — A twoi krewni weszli. I wiesz, co ich spotkało.

— Bo weszli bez Arki. Bez słowa.

— Więc słowo jest potrzebne. I miecz też. Bóg dał jedno i drugie. Głupi bierze tylko to, co mu wygodne.

Był i taki, który mówił ciszej, i to jego słowa zostawały w głowach na dłużej:

— Bóg skazał naszych ojców — mówił chłopak z Symeona, patrząc w ogień. — Wszystkich, od dwudziestego roku. Skąd wiecie, że nas nie skaże? Po co się kuć na miecz, który Bóg i tak może złamać, kiedy zechce?

Na to nikt nie miał gładkiej odpowiedzi. Otniel powtórzył tylko to, co słyszał od Kaleba, choć sam nie był pewien, czy w to wierzy:

— Skazał tych, którzy nie chcieli wejść. Nas skaże, jeśli nie zechcemy. Więc chciejmy.

Mojżesz przechodził tamtędy w ciemności i słyszał to — słyszał więcej, niż myśleli. Nic nie powiedział chłopcom. Ale nocą powiedział Kalebowi:

— Pytają, po co miecz, skoro walczy Bóg.

— A ty co byś im rzekł? — mruknął Kaleb.

— Że Bóg daje zwycięstwo — powiedział Mojżesz. — Ale daje je ostrzom, które umieją ciąć. Nie widziałem jeszcze, żeby rozstąpił morze przed człowiekiem, który nie chciał podnieść nogi.

Synowie proroka

Dla obozu Mojżesz był prorokiem. Dla dwóch ludzi w tym obozie był ojcem, którego prawie nie znali — a to oni mieli go najtrudniej, bo ojca widuje się z daleka gorzej niż obcego. Gerszom i Eliezer przychodzili wieczorem do ognia matki, jak przychodzili zawsze, bo przy ogniu Sefory świat był jeszcze zwyczajny.

— Widzieliśmy go dziś znowu tylko z daleka — powiedział Gerszom, starszy, ten, w którym gorycz zbierała się powoli, jak woda w cysternie. — Wchodził do Namiotu. Słup stanął w wejściu. Cały obóz patrzył. A ja pomyślałem: tam idzie mój ojciec, i nie mogę nawet do niego podejść, bo właśnie przestał być mój.

Sefora mełła coś w dłoniach, nie podnosząc głowy.

— Ja go znałam, zanim był prorokiem — powiedziała. — Wy nie. I to jest cała różnica między wami a mną. Wy urodziliście się już prorokowi. Ja poślubiłam człowieka. Chudego zbiega, który przyszedł nad studnię ojca z krwią na rękach i nie umiał powiedzieć, kim jest. Nie miał wtedy słupa w wejściu. Miał strach i puste dłonie, i jadł moją soczewicę tak, jakby pierwszy raz od lat ktoś dał mu jeść, nie każąc nic w zamian. — Uniosła głowę. — Tego człowieka wy nie poznaliście. Jego zabrał wam krzak, który płonął i nie spłonął. Nie gniewajcie się na proroka, że nie jest ojcem. Gniewajcie się, jeśli już musicie, na głos z krzaka, który wam go wziął. Tylko że na ten głos gniewać się nie warto, bo i tak wygra.

Eliezer, młodszy, ten, który pytał o rzeczy, o które nie pyta się głośno, patrzył w ogień.

— Matko — powiedział. — Ty jesteś z Midianu. Twój ojciec służył innym bogom, zanim poznał naszego. Powiedz mi prawdę, bo tobie uwierzę prędzej niż kapłanom: czy ty naprawdę wierzysz w Boga ojca? W tego, który rozstąpił morze? Czy tylko poszłaś za mężem?

Sefora długo nie odpowiadała.

— Hebrajczycy boją się Boga — powiedziała w końcu. — Widzieli Go w gromie na górze i w słupie ognia, i to słuszne, że się boją. Ja Go spotkałam inaczej. Ja Go spotkałam w waszym ojcu — w tym, że człowiek, który przyszedł nad moją studnię złamany i pusty, wstał pewnego dnia i poszedł z powrotem w miejsce, z którego uciekł, prosto na faraona, choć się trząsł. Nikt nie wraca sam do domu, z

którego uciekł ze strachem. Jego ktoś zawrócił. I to „ktoś" było dla mnie dowodem mocniejszym niż morze, bo morze widziałam już rozstąpione, a serce człowieka złamanego widziałam, jak się odwraca i idzie pod prąd własnego strachu. Tak, synu. Wierzę. Ale wierzę po midiańsku: trzeźwo, z boku, bez gromu. Bóg, którego poznałam, nie krzyczał. Zmienił mi męża. To mi wystarczy.

— A co z nami? — rzucił Gerszom, i to było pytanie, do którego zmierzał od początku. — Powiedz to głośno, matko, skoro mówimy prawdę przy ogniu. Jozue poprowadzi wojsko — nie my. Kapłaństwo ma dom Aarona — Eleazar nosi napierśnik, nie ja, nie Eliezer. Lewici dostaną miasta. Juda dostanie berło. A my? Synowie tego, który wyprowadził wszystkich? Nie dostaniemy nic. Ani plemienia, ani urzędu, ani działu. Prorok ma dwóch synów, o których nie będzie żadnej pieśni. Czy on w ogóle o tym myśli?

— Myśli — powiedziała Sefora, i w jej głosie nie było ani pociechy, ani kłamstwa. — Myśli i cierpi, bardziej, niż pokazuje. Ale posłuchaj mnie, Gerszomie, bo powiem ci rzecz, której ojciec wam nie powie, bo nie umie mówić o sobie. Człowiek, którego Bóg bierze całego, nie ma już czego zostawić synom — bo wszystko, co miał, oddał ludowi. Wasz ojciec nie zostawi wam plemienia, bo stał się ojcem całego narodu i nie starczyło go na własny dom. To jest cena, i płacicie ją wy, nie on, i to jest najniesprawiedliwsze w prorokach: że rachunek za nich regulują ich dzieci. — Dotknęła ręki starszego syna. — Ale jedno wam zostanie, czego nie ma Jozue ani Eleazar, ani żaden naczelnik: że byliście jego. Że jadł przy tym ogniu. Że nosił was na barkach, zanim

nosił naród. Pieśni o was nie będzie. Ale wy będziecie wiedzieli, czego nie będzie wiedział nikt z tych, co śpiewają: jak pachniał wasz ojciec, kiedy wracał z góry. To niewiele. Ale to jest tylko wasze, i tego wam żaden dział ziemi nie da.

Siedzieli jeszcze długo przy ogniu, trzej ludzie, których świat miał zapamiętać tylko jako „żonę i synów Mojżesza" — bez imion, w cieniu jednego imienia. Eliezer pierwszy wstał spać. Gerszom został dłużej, patrząc w żar, i Sefora wiedziała, że gorycz w nim nie minęła — minie dopiero wtedy, albo i wtedy nie, gdy sam zostanie ojcem i zrozumie, ile kosztuje dać dziecku wszystko, a ile dać mu siebie, i że to nie zawsze jest to samo.

Gorycz Rubena

Ruben był pierworodny. To jedno zdanie nosili Rubenici jak kamień w bucie przez całą pustynię: pierworodny — a idzie na południe, za plecami Judy. Bo pierworództwo Ruben stracił dawno, jeszcze u łoża Jakuba, „chwiejny jak woda", i berło przeszło do Judy, kapłaństwo do Lewiego, podwójny dział do Józefa, a Rubenowi zostało samo słowo: pierwszy — i nic, co by za tym słowem szło. Nie wydali proroka. Nie wydali sędziego. Nie mieli wydać króla. Wiedzieli o tym, i to ich uwierało bardziej niż głód.

Datan mówił to głośno. Chodził między namiotami południa i pytał, niby lekko, niby żartem, a każde pytanie było ostrzem, które zostawiał w cudzej głowie, żeby dojrzewało tam samo:

— Czemu na czele idzie Juda? Bo tak rzekł Mojżesz. A kto postawił Mojżesza? Lewita. I brat jego lewita nosi napierśnik. Wszystko zostaje w jednym domu. My, pierworodni, mamy iść z tyłu i cieszyć się piaskiem, który zostawią nam ich sandały. — Rozglądał się i dodawał ciszej: — A przecież pierworództwo to nie łaska Mojżesza. To krew. Naszej krwi nikt nam nie odbierze rozkazem.

Elicur, naczelnik Rubena, nie zaprzeczał Datanowi. To było gorsze, niż gdyby przytakiwał. Stał z podniesioną głową i milczał, a milczenie wodza jest dla ludu jak przyzwolenie wypisane na chorągwi.

Doszło do tego na klepisku, w skwarze, kiedy hufiec Judy i hufiec Rubena ćwiczyły obok siebie natarcie na tę samą wyznaczoną linię. Kurz stał w powietrzu do wysokości piersi. Ktoś z Rubena — nigdy nie wiadomo który, zawsze nie wiadomo który — rzucił, że Juda pcha się na przód nawet w musztrze, jak wszędzie. Ktoś z Judy odrzucił, że Ruben niech się cieszy, że w ogóle go dopuszczono do linii. Padło trzecie słowo, o łożu Jakuba, o wodzie, która nie umie ustać w miejscu — i to słowo było jak iskra w suchą trawę.

Rubenita odwrócił się i pchnął tępym końcem drąga w twarz tego z Judy. Trzasnął nos, chlusnęła krew, jasna w słońcu. I w tej samej chwili obie linie — dwie ściany chłopców uczonych całymi księżycami, żeby na ścianę naprzeciwko biec — ruszyły na siebie, i po raz pierwszy nikt nie musiał ich do tego zmuszać drągiem.

Zderzyły się z hukiem drewna o wiklinę. Nie była to już musztra. Drągi szły w dół na głowy, nie na tarcze; łokcie, kolana, zęby; ktoś padł i deptano po nim; kurz wzbił się tak, że słońce zrobiło się rude.

Krzyk był inny niż na ćwiczeniach — niższy, gardłowy, ten, który wychodzi z człowieka, kiedy przestaje udawać. Otniel dostał drzewcem w skroń i świat przechylił mu się na bok, ale utrzymał się na nogach i oddał, i poczuł, jak jego drąg trafia w coś miękkiego, i przez jeden ohydny oddech było mu z tym dobrze.

On, syn Peleta, stał w środku tej kotłowaniny i nie bił. Widział twarze, które znał — chłopców, z którymi dzielił mannę — wykrzywione tak, że ich nie poznawał. Widział swojego dziesiętnika, jak dławi Judejczyka rzemieniem od procy. Krew jego krwi biła się tu o słowo „pierwszy", a jemu to słowo nagle zbrzydło w ustach. Cofnął się — nie ze strachu, po raz pierwszy nie ze strachu — i ten pół kroku w tył był inny niż tamten pod Amalekiem, i On jeszcze nie umiał nazwać, czym.

Wtedy błysnął brąz. Ktoś — Rubenita, młody, z rozciętą wargą — wyszarpnął zza pasa khopesz, prawdziwy, ten z morza, i uniósł go nad głowę Judejczyka leżącego w kurzu. Ostrze poszło w dół.

Nie doszło. Jozue wszedł w tłum jak wchodzi się w rzekę pod prąd — sam, bez tarczy, bez broni. Chwycił rękę z khopeszem w locie, w nadgarstku, i skręcił tak, że brąz wypadł w piasek, a chłopak wrzasnął i osunął się na kolana. Drugą ręką Jozue odrzucił od siebie dwóch, którzy nań napierali, nie wiedząc jeszcze, kto to; odrzucił ich tak, że polecieli plecami w swoich. Za nim szedł Kaleb i szedł ze swoim drągiem, i drąg Kaleba spadał na barki i karki bez wyboru, po równo na Judę i na Rubena, aż zrobiło się wokół nich koło pustej ziemi, które rosło.

— DOŚĆ! — Głos Jozuego przeszedł nad klepiskiem ponad krzykiem, ponad hukiem drewna, i był to głos, którego słuchali pod Amalekiem, kiedy Amalek był prawdziwy. Ucichli nie dlatego, że chcieli. Ucichli, bo ciało pamiętało ten głos jako głos, po którym się żyje albo ginie.

Stał między nimi w kurzu, który powoli opadał, i patrzył po twarzach — rozbitych, zakrwawionych, nagle młodych, nagle przerażonych tym, co przed chwilą robiły. U jego stóp leżał khopesz z morza. Podniósł go, zważył w dłoni i uniósł tak, żeby wszyscy widzieli.

— To ostrze — powiedział — wyjął Bóg z ręki Egipcjanina, który się w nim utopił, i dał je wam. Wam, nie im. Żebyście weszli do ziemi, której wasi ojcowie się zlękli. — Odwrócił się wolno, żeby dosięgnąć wzrokiem obu ścian. — A wy podnosicie je na brata, o miejsce w szyku. O to, kto pierwszy postawi stopę na piasku, którego jeszcze nie zdobyliście. — Rzucił khopesz w kurz między nich. — Kananejczyk usłyszy o tym, zanim zajdzie słońce, i będzie się śmiał. Da wam wszystkim, i Judzie, i Rubenowi, bić się do woli. Tylko już nie ze sobą.

Kazał wypisać imiona tych, którzy dobyli ostrza, i odesłać ich na siedem dni do namiotów, do kobiet i starców, i powiedzieć wszystkim, dlaczego. Judejczyk z rozbitym nosem i Rubenita z rozciętą wargą stali obok siebie ze spuszczonymi głowami, i był to jedyny raz tego dnia, kiedy stali obok siebie i nie chcieli się zabić.

Rozeszli się. Rana została. Rana po takim dniu nie zamyka się od słów — zabliźnia się na wierzchu, a pod spodem ropieje. Datan tego

wieczoru nie mówił nic. Nie musiał. Uśmiechał się tylko, bo dostał dokładnie to, po co chodził między namiotami: dowód, że Juda i Ruben sięgną po siebie, jeśli tylko ktoś rzuci właściwe słowo we właściwej chwili. Zapamiętał, które to słowo.

On, syn Peleta, nie spał. Leżał i patrzył w słup nad obozem i pierwszy raz pomyślał o Datanie nie „nasz" — pomyślał „ten człowiek nas zgubi". Ale była to dopiero myśl, a Datan miał już plan.

Jozue przyszedł do Mojżesza z twarzą ciemniejszą niż po Chormie.

— Wróg za wzgórzem mnie nie martwi — powiedział. — Wróg za wzgórzem stanie naprzeciw i będę wiedział, gdzie jest, i pójdę na niego całą ścianą. Dziś omal nie zabili się sami, o miejsce w szyku. Gdyby Kananejczyk uderzył w tej chwili, wyrżnąłby nas naszymi własnymi mieczami, a my podalibyśmy mu je z wdzięcznością. Ruben pęka. A pod Rubenem mówi się już nie o musztrze, tylko o tym, kto ma prawo prowadzić lud.

Mojżesz zamknął oczy.

— Znam ten głos — powiedział. — Słyszałem go u podnóża góry, kiedy schodziłem z tablicami. Zawsze mówi to samo: „czemu ty, a nie ja". I zawsze przychodzi z tej strony, gdzie ktoś nosi urazę dłużej, niż nosi wiarę. — Otworzył oczy, i były w nich zmęczenie i coś, co u proroka jest gorsze od zmęczenia: przeczucie. — Wojsko można wykuć z synów niewolników, Jozue. Ale nie z ludzi, którzy w bracie widzą rywala prędzej niż wroga w Amalekicie. Pilnuj Datana. I pilnuj młodego On, syna Peleta. Ojciec jest złamany, ale uczciwy. Syn dziś się

nie bił — widziałem. Stoi prosto i jeszcze nie wie, w którą stronę. Za takich się walczy.

Pierwsza krew

Amalekita przyszedł, jak przychodzi zawsze — nie na czoło, lecz na ogon. Uderzył o świcie na stada pasące się na wschodnim skraju, tam gdzie warty trzymał świeży hufiec, jeszcze nie wojsko, dopiero jego zapowiedź. Zabił pasterzy, zanim ktokolwiek zdążył dąć w róg, i pognał wielbłądy w pustynię.

Jozue nie zdążyłby z głównymi siłami. Zdążył Kaleb z tym, co miał pod ręką — setką chłopców, którzy trzy księżyce temu nie umieli stać w szeregu. Dopadli Amalekitę przy suchym korycie, gdzie łup spowolnił mu ucieczkę.

To nie była bitwa. To była nauka, pisana krwią zamiast na piasku. Otniel wpadł pierwszy, za wcześnie, i omal nie zginął — Amalekita ciął go w tarczę tak, że drzazgi poszły w twarz — ale za Otnielem szła ściana, ta sama ściana, którą Jozue wbijał im w ciało dzień po dniu, i ściana nie pękła. Proce zaświstały. Kamień z rzemienia nie wie, z czyjej wyszedł ręki. Trzej Amalekici padli, zanim dobiegli.

On, syn Peleta, stał na skrzydle. Widział, jak jego dziesiętnik idzie pod topór, i przez jeden oddech — ten oddech, o którym mówił Jozue, ten jeden za długi — jego stopy chciały tego, czego chciały stopy jego ojca przez czterdzieści lat: cofnąć się. Cofnął się o pół kroku. I stanął. Wparł włócznię w piasek, jak go uczono, i przyjął na

nią rozpędzonego wroga całym ciężarem, tak że zabolało w barkach do kości, tak samo jak Otniela pierwszego dnia na klepisku. Amalekita osunął się na drzewce.

Odbili wielbłądy. Stracili siedmiu. Kaleb kazał wypisać siedem imion na skórze i nie kazał pisać, że nie zginął żaden — bo tak się pisze zwycięstwa, ale on tak pisać nie chciał.

— Nie są gotowi — powiedział wieczorem Jozuemu. — Otniel wpadł jak cielak. On się cofnął. Połowa krzyczała, zamiast oddychać. — Umilkł, wycierając khopesz z krwi. — Ale ściana nie pękła. Rok temu pękłaby. To jest coś, Jozue. To jeszcze nie wojsko. Ale to już nie kozy.

Kuźnia w nocy

Nocą siedzieli we trzech przy jednym ogniu — Mojżesz, Jozue, Kaleb. Trzej ludzie, którym Bóg powierzył pokolenie z prochu, i tylko jeden z nich był stary, choć wszyscy trzej byli zmęczeni.

— Ilu masz gotowych? — zapytał Mojżesz.

— Setkę, która pójdzie i nie ucieknie — powiedział Jozue. — Za rok tysiąc. Za dziesięć lat — wojsko. — Popatrzył w ogień. — Ale ja tego wojska nie prowadzę pierwszy. Ty je prowadzisz.

Mojżesz nie odpowiedział od razu. Patrzył w płomień, w którym kowale hartowali za dnia groty, i widział coś, czego tamci dwaj nie widzieli — widział ziemię z drugiego brzegu i wiedział już, choć

jeszcze nie powiedział tego głośno nikomu, że nie będzie mu dane postawić na niej nogi. Ale to była wiedza na inną noc.

— Kuźnia — powiedział wreszcie, jakby do siebie. — Egipt był piecem, w którym nas wytopiono z rudy. A to jest kuźnia, w której nas kują. Ruda nie wybiera, czy chce być ostrzem. My — musimy chcieć.

Kaleb dorzucił do ognia i iskry poszły w górę, ku słupowi, który stał nad obozem czerwony od żaru i biały od Boga.

— Za tymi wzgórzami — powiedział — czeka Arad. Za Aradem Sichon. Za Sichonem olbrzym z Baszanu, o którym mówią, że sypia w łożu z żelaza. A za nimi wszystkimi siedzi nad Wielką Rzeką człowiek, który nie weźmie do ręki miecza, a jest groźniejszy od nich razem wziętych, bo wie, że Izraela nie pokona się mieczem. — Kaleb splunął w ogień. — Więc kujmy ostrza. I módlmy się, żeby serca dały się wykuć razem z nimi.

Ognisko dopalało się powoli. Gdzieś na południu, w namiotach Rubena, nie spał Datan. A młody On, syn niewolnika, leżał na wznak i po raz pierwszy w życiu bał się nie bata, którego nie znał, lecz własnego pół kroku w tył, który zapamiętał na zawsze.